



Czasopismo ilustrowane dla dzieci i młodzieży
wychodzi 1., 10. i 20. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: w kraju rocznie 4 złr., półrocznie 2 złr., kwartalnie 1 złr. — Z przesyłką o 15 ct. kwartalnie drożej.
W Ks. Poznańskim 8 mr., kwartalnie 2 mr. **Skład główny** w księgarni J. Leitgóra i Sp. w Poznaniu, ul. Wilhelmowska 1. 8.
Adres Redakcyi: Lwów, pl. Maryacki 1. 10. — **Adres Administracyi:** Lwów, ul. Grodziekich 1. 3. sklep p. Heleny Jaworskiej.

CÓRKA STAREMBERGA

opowieść historyczna

z czasów oblężenia Wiednia przez Turków

napisal

SZCZĘSNY ROGALA.

(Ciąg dalszy).

Nazajutrz przed wieczorem rozwarły się bramy cesarskiego zamku i wyjechał z nich wspaniały orszak, ale orszakowi temu nie towarzyszyły wesołe okrzyki ludu, nie ciśnięto się w około, jak to się zazwyczaj działo, ilekroć jawiła się na mieście rodzina panująca.

Na czele orszaku jechał kurjer cesarski w różnobarwnem ubraniu, za nim postępowali w dwóch rzędach kopijnicy, za kopijnikami toczyła się wspaniała kolasa, a w niej siedział cesarz Leopold I. z cesarżową Eleonorą i z trojgiem dzieci: Antoniną, Elżbietą i Leopoldem Franciszkiem, zbrojna służba pałacowa otaczała kolasę, a za nią ciągnął cały rząd powozów, w których siedzieli najwyżsi urzędnicy i damy dworu; na końcu jechali znowu kopijnicy, którzy zamykali konwój.

Cesarz siedział blady i rzucał w około niepokojne wejrzenia, jakby się obawiał, czy wzburzeni mieszkańcy miasta nie zatrzymają go w ucieczce lub nie cisną mu w oczy urąganiem. Lecz cicho było zupełnie. Nikt nie przybliżał się, z daleka tylko z wyrazem niemej rozpaczki w oczach, z bezwładnymi rękami stały gromady pospólstwa i mieszczan i zdawało się, że dopiero w obec tej ucieczki zrozumieli, jak wielkie grozi im niebezpieczeństwo.

Dopiero, kiedy cesarski orszak przejechał most na Dunaju, kiedy zamknęły się za nim bramy miasta, a po Wiedniu gruchnęła wieść, że cesarz uciekł, w mieście powstał taki popłoch, jakby nieprzyjaciel był już pod murami. Ucieczka pańska przynębiła i przeraziła do reszty i tak już przerażonych mieszkańców. Wszyscy wybiegali z domów, jedni dopytywali, czy prawda, że cesarz opuścił stolicę, inni wdrapywali się na drzewa i dachy, chcąc dojrzeć, czy nieprzyjaciel nie wdziera się już na mury. Bogaci mieszczenie trwożni o swe dostatki, zaczęli pakować w skrzynie klejnoty, pieniądze i kosztowne sprzęty. Na ulicach słyhać było płacz, krzyki niewiast. narady toczyły się

wszędzie, posłańcy przebiegali z domów do domów.

Opowiadano sobie straszne wieści o Turkach, których dotąd żaden Niemiec nie widział; w wyobraźni strwożonego mieszczaństwa urosli oni na jakichś potworów, którym się nikt nie oprzeć nie zdoła. Mówiono, że już pokonali Polskę, Węgry, że zburzą Wiedeń i po gruzach Wiednia podążą na Rzym. W obec takiego przeobrażenia, bogatsi ładowali co mogli na wozy i uciekali ku Dunajowi, zostawiono domy otwarte, bo pocóż je było zamykać, skoro jutro miały się stać pastwą płomieni i rabunku. Niektórzy niczego nie wzięwszy, uciekali z życiem, a przy bramie Dunajowej był taki ścisk, że ludzie się dusili, tratowali i znachodzili w ucieczce tę śmierć, której się tak lękali i przed którą uciekali.

Tak przeszła noc cała. Nazajutrz liczba tych, którzy opuścili Wiedeń, wynosiła przeszło 60.000. Komendant miasta, generał Staremberg patrzył z początku na wyludnianie się miasta obojętnie. Rad był nawet, że ubędzie ust do żywienia i żołdaków do trwożenia obłożonych, ale widząc tak okropny popłoch, obawiał się, że w końcu nie stanie rąk do pracy i że trwoga gotowa się udzielić i załodze, postanowił więc, aby podnieść odwagę Wiedeńczyków, pokazać im swą siłę zbrojną. Więc zdziwieni mieszkańcy miasta, którzy wczoraj patrzyli na sromotną ucieczkę pana i dworu, ujrzeni znowu pochód, ale całkiem inny.

Oto wśród odgłosu trąb, bębnow i hucznej muzyki, ulicami miasta przeciągała konnica jednego z najdzielniejszych owoczesnych wodzów: księcia Lotaryńskiego. A piękny to był zastęp: żołnierze postępowali w szyku bojowym, a na ich czele jechali oficerowie, piersi ich zasłaniały błyszczące stalowe kirysy, na głowach mieli szyszaki ozdobione pióropuszcami, ramiona i uda osłonięte były także stalą, rękawice nawet i buty okryte były blachą. Widok tych jeźdźców, jakby ukutych ze stali, siedzących na koniach, także żelazną okrytych blachą, obudził otuchę w przerażonych mieszkańcach.

Z początku nie wiedzieli co orszak ten ma znaczyć, ale gdy ulicami przejeżdżał oddział jeden po drugim, jeden tysiąc po drugim, gdy lud strwożony przekonał się, że od tych mężów strach jest daleki, a z nimi odwaga i wiara — sam nabrał tejże wiary i mileżące z początku tłumy, ożywiły się; jeden i drugi wyrzucił w górę czapkę i krzyknął: „Hoch, hoch“! a za tymi pierwszymi okrzykami poszły inne i już

towarzyszyły tym zbrojnym szeregom ciągle okrzyki — a któredy one przeszły, tam podnosiły się głowy, ożywiały serca, a ręce brały się do pracy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Proski i pociechy Duńka.

(Ciąg dalszy.)

Ach! gdyby nie ten pies! jakżeby miłe po niej zostało było wspomnienie. Ale pies jakiś ogromny, dziwny pies, bo nie szczekający wcale, raptem nadbiegł i przyczepił się do nich. Biegł za nimi bezustanku, gdy już zerwawszy się, w milczeniu zaczęli spieszenie iść do domu; a tylko serca im wszystkim trojgu były bardzo. Pies odprowadził ich aż do Martwego morza, a tu... nowa przygoda! ktoś zabrał był kładkę rzeczną nad jego głębiami i Bina zrzuciwszy obuwie, musiała stanąć bosymi nogami w rowowisku głowaczów, pijawek końskich i tak przenosiła dzieci na drugą stronę. Pies patrzył, a potem poszedł sobie nareszcie.

Dla Zosi wyprawa taka była niezapomnianą, pagórek pod parkanem był prawie końcem świata. Duńko już większych przygód w tej okolicy doświadczył i nie bał się tak bardzo psów nieszczekających. Raz wracał z rodzicami i licznem gronem znajomych od kąpieli w rzece, gdy raptem taka ulewa świat zalała, taka ciemność się zrobiła, taki grad wielki bił po głowach, na których kapelusze niby szmaty pozwiślały, takie zygzaki ogniste z piorunów waliły na wszystkie strony, a najwięcej w kopice siana, pod którymi chcieli się schronić biedni poddróżni, że sam ojciec major powiedział później: — Myślałem, że poginiemy tam wszyscy!

Musieli wszyscy zdjąć obuwie, bo w rozmokłej ziemi nie można było stapać, rowy pełne były wody, dwa razy gradowych głowy bolały. Antoni, furman wyjechał wprowadzić gościńcem po państwo swoje do rzeki, ale ich już nie znalazł, oni tymczasem błądzili po zalanych łąkach.

Gdy przyszli do domu,



wszystkie suknie były na nich, jakby przyklepione, woda lała się z nich tak, że wszystkie posadzki były złane zanim się poprzebierali.

Dziwna rzecz! Duńko myślał z przyjemnością o tej przygodzie.

W tym zaś roku już Duńko z Heniem uzbrojeni we wszelką broń, jaką tylko posiadali, a więc strzelbę, pałasz, pistolety, toporki, chodzili sami na wyprawy w głąb Afryki. Tą Afryką były krzaki gęste i lasek nad rzeką rosnący; mieli też rozmaite torby na sobie poprzewieszane. Co tylko ciekawego znaleźli, to zaraz chowali jako zdobycz. To kamyczek ładny, to muszelka jakaś, to owad niezwykły, wszystko szło do torby. Raz znaleźli jakąś kość niezwykłą, to znów niby odcisk muszli, miały to być okazy przedpotopowe. A kamyczki, w których była nawskróś wązka szparka wywiercona, nazywali talizmanami i wierzyli, że to pioran tę szparkę wywiercił. Ludzie prości zaś tłómaczyli im, że to tęcza właśnie z tego kamyczka, a raczej przez ten kamyczek wodę piła.

Spisywali także pamiętnik swoich wypraw. Zobaczywszy raz kreta, zapisali w pamiętniku: „Lew afrykański lotem strzały pędząc przed siebie, chciał nam przeciąć drogę; lecz my skokiem potężnym ponad grzbiet jego uniknęliśmy niebezpieczeństwa i ocaliliśmy życie. Lew znikł w gęstwinie, gdzie miał legowisko“. Slimak ciągnący powoli swój domek, uchodził za hipopotama, żaba była foką. Za „Martwym morzem“ rozciągające się łąki sianozęcia, po których nie wolno było chodzić, były u nich „Oceanem Spokojnym“. Tygrysem wściekłym, był pińcz Krokietem zwany, który wybiegał zawsze z sąsiednich ogrodów i prześladował naszych bohaterów, szczekając ciekawym głosem. Im bardziej oni, dobywszy szabel i z bagnietami nałożonemi za nim gonili, tem zajadlejszym się stawał. Kule grochowe i inne pociski nie robiły na nim wrażenia. W pamiętniku zapisywali wtedy: „Polowaliśmy znów dzisiaj na tygrysa wściekłego i darowaliśmy mu wspaniałomyślnie życie; skóra jego taka wytarta i nędzna; że nie wart naboju prochu“.

Pamiętnym był ten dzień dla chłopców, gdy ujrzeni w ogrodzie ni mniej, nie więcej, tylko zaczajonego wśród stosu zrąbanych wierzb zajęcia prawdziwego, który obrawszy sobie tam legowisko, wychodził zapewne rankami pomiędzy jarzyny ogrodowe i tak żył sobie szczęśliwie. Gdy „tygrys wściekły“, który go wytropił

w stosie drzewa, zaczął nań ujadać, a chłopcy rzucili się, strzelając z flobertów, zajęć wyskoczył i dawszy kilka susów, znikł im z oczu... na wieki. W pamiętniku nie było wyrażenia dość potężnego na tego zwierza, więc zapisano go jako „prawdziwego zajęcia“ tylko.

Takie to radości i zabawy miewały dzieci nasze, mieszkające od trzech lat z rodzicami na Szląsku, dokąd z Galicyi ze Stanisławowa przyjechały. Nie znalazły one nawet wielkiej różnicy między tym krajem, a tamtym; niemiecki język w szkole nie robił wielkich trudności Duńkowi, którego ojciec, major Westenburg, ożeniwszy się z panną Barską, starał się, by syn jego już w Galicyi dobrze umiał po niemiecku. Tak samo starali się o to rodzice Henia, to jest pan Barski, brat matki Duńka; matka Henia była siostrą pana Westenburga. Razem nawet przeniosły się obie rodziny z Galicyi na Szląsk, po śmierci starych Westenburgów, którzy ładny majątek tutaj dzieciom zostawili.

Jak w Galicyi dbano o to, by dzieci po niemiecku rozmawiały, tak tutaj starano się, by nie zapomniały po polsku. A dziwnie się złożyło jakoś i szczęśliwie dla dzieci, że rodzinne miasto Barskich, które zamieszkiwali w Galicyi, podobnie było położone jak i to na Szląsku rodzinne miejsce Westenburgów, dlatego nie czuły prawie różnicy przesiedlenia. Wreszcie, czyż Szląsk, to nie Polska? Zosia nawet nie pamiętała dobrze tamtych stron, ona i tak leżąc najczęściej w łóżeczku, pamiętała tylko, że tam w Galicyi był pokój malowany na niebiesko, a sufit miał inne całkiem kółka, kwiatki i paski, niż tutejszy sufit w tym orzechowym pokoiku. Duńko dobrze pamiętał tamto miasto, okolice i ludzi tamtejszych. Czasem bardzo mu było tęskno za tem wszystkim. Wreszcie on tam doprawdy był szczęśliwszym jakoś. Tam, czy mu się zdawało tylko, czy naprawdę tak było, ale bardziej go tam matka kochała, niż tutaj. A żadne dziecko na świecie nie kochało i kochać tak nie będzie swojej matki, jak on.

Bo też jaką ona była dla niego, ta jego mamusia! Nie umiał jeszcze chodzić, a pamięta, z tych czasów słodką jej twarz nachyloną nad sobą; pamięta, kiedy się śmiała, pamięta ilekroć była błada i łyż w oczach miała. Jak ona go pieściła! Jak wszystko, co kiedykolwiek powiedziała, spełniało się zawsze. Jak ona się z nim razem bawiła, jak go uczyła! Jak mu słicznym głosem śpiewała różne pieśni!

Zofia ze Strzetelskich Grynbergowa.
(Ciąg dalszy nastąpi.)

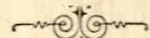


GNIEWAM SIĘ NA CIOCIE!



Ciociu, gniewam się na ciocię!
 Ja tak wcale się nie bawię!
 Ciągłe huśtasz małą Klocię,
 A mnie, to nie widzisz prawie.
 Dawniej tośmy w biegu obie
 Prześcigały ptaszki w locie,
 Teraz z Klocią siedzisz sobie —
 Ciociu, gniewam się na ciocię!

Czekaj, czekaj, wiem co zrobię,
 Siostrzyczki nie zbudzę wcale,
 Siedźże z Klocią, siedź tu sobie,
 Ze mną nie baw się już — ale
 Ja cichutko, nadasana,
 Siedzieć będę tam, przy płocie
 Od wieczoru, aż do rana!
 Ciociu, gniewam się na ciocię!



Weiaż się bawić muszę sama,
 Przytem wołasz ciągle: cicho!
 Śpi siostrzyczka, śpi znów mama. —
 Baw się, baw bez krzyku, śmiechu!
 Dawniej toś się ze mną śmiała,
 Figli, psot płałaś krocie,
 Dziś weiaż wołasz: cicho mała!
 Ciociu, gniewam się na ciocię!

St. Kossowska.

W malutkiem społeczeństwie

(obrazek z życia zwierząt).

(Ciąg dalszy).

Najuważniej zaglądała we wszystkie zakamarki poważna osa, którą wszystkie mieszkanki szarej kuli otaczały nadzwyczajnym szacunkiem. Sędziwa osa ujrawszy wielkie spustoszenie, zapłakała gorzko; a że jej młode towarzyszkę widziały ją płaczącą po raz pierwszy, więc zdziwiły się bardzo i nie mogły zrozumieć, dlaczego ich matusia, bo tak ją zwykły nazywać, poddała się dziś tak wielkiemu żalowi.

— Nie dziwcie się moje drogie, że płaczę, lecz tych nie wstydzę się wcale, wy jesteście jeszcze młode i pojąć nawet nie możecie, jak to boli, gdy doczekamy się na starość tego, że jeden bezmyślny żart zniszczy pracę całego żywota. Dziś już zapóźno na rozpoczęcie nowej pracy, bo wkrótce zajdzie słońce, ale nim uśniemy, opowiem wam, jak ciężko musiałam pracować, zanim zbudowałam to gniazdo, które dziś jeden pusty chłopak zniszczył lekkomyślnym uderzeniem kamienia.

Młode osy, które od najpierwszej chwili młodości pamiętały staruszkę taką, jak dziś, usiadły w koło niej, zbliżyły się, jak mogły najbardziej, nastawiły uważnie rożków sterczących na ich główkach, a matusia tak zaczęła opowiadać:

— Gdy zbudziłam się na wiosnę z długiego snu zimowego, ujrzałam się sama jedna. Żadna z mieszkanek mojego zeszłorocznego gniazda, nie przetrzymała mrozów zimowych — wyginęły wszystkie. Jakkolwiek smutno mi było samej, to jednak prędko otrząsałam się z tych żalów i powiedziałam sobie: Skoro zostałam sama, na tobie ciąży obowiązek założenia nowego gniazda, ty musisz naprawić to, co zniszczyła sroga zima — i uczułam wtedy, że jakaś nadzwyczajna siła wstępuje w moje członki i taka jakaś pewność siebie mnie przenika, że zdołam dokonać rzeczy nadzwyczajnych.

Zaraz więc, jakby parta ta siła, rozwinęłam skrzydełka i puściłam się w świat. Upatrzyłam na tem oto drzewie miejsce odpowiednie na gniazdo, zasłonięte od wiatru i deszczów pnem i liśćmi i zaczęłam budowę.

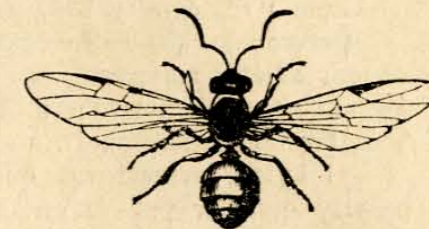
Nikt z was nie ma pojęcia, z jakim pracowałam wyteżeniem od wczesnego świtu do późnego zmroku. Nie miałam nikogo do po-

mocy, więc sama musiałam skrobać szczykami włókna zwierzęcych powierzchni parkanów i desek, sama je przerabiać za pomocą śliny na papkę przydatną do budowy, budować komórki, osłaniać je...

— Jakto? — zawołała najmłodsza słuchaczka, która dopiero od dni kilkunastu żyła na świecie, a urodziła się w skończonym już gnieździe i nie widziała, jak je budowano — taki wielki dom zbudowałaś sama jedna?

— Nie, dziecko, zbudowałam z początku tylko kilkanaście komórek, domu takiego nie było potrzeba, któżby w nim był mieszkał? W te komórki zniosłam jajeczka, potem pracowałam dalej nad budową, aż dnia jednego wykłuły się gąsieniczki. Wtedy to praca moja jeszcze się pomnożyła, bo musiałam sama wyżywić tę żaloczną gromadę. Ileż to napracowałam się zanim przyniosłam do gniazda jaką muchę lub inny owad, a jak musiałam uważać, dzieląc, aby wystarczyło dla wszystkich, ale pracę słodziła mi myśl, że jeszcze trochę, a z moich gąsieniczek będą śliczne młode oski i już nie będę samą.

Tak minął czas jakiś, aż moje gąsieniczki przyczepiły się brodawkami do ścian komórek i usnęły. Znowu cicho było w gnieździe, mały przepoczwarcały się, a ja wyczekiwałam ich obudzenia. Codziennie zaglądałam w każdą komóreczkę, oczyszczałam je starannie i czekałam, aż dnia jednego zaroiło się moje gniazdo. Wy nie możecie nawet zrozumieć szczęścia, jakie przepełniło moje serce na myśl, że już nie będę sama, a wszystkie te małe istotki to były moje dzieci, moją wykarmioną pracą, a całe gniazdo było także dziełem mojej pracy... czułam się dumną, szczęśliwą, jak może czuć się tylko ten, kto dokona wielkiego dzieła. — Teraz znowu praca moja powiększyła się, ale już też około mnie roilo się wesołym młodem życiem. W kilka dni później moje pomocnice, córki i synowie podzielili mię-



dzy siebie pracę. Już to z żalem muszę przyznać, że najmniej ochoty do pracy i zdolności do niej okazywali synowie; niektóre córki lubiły też więcej zabawy, niż pracę, ale za to większa część była tak pracowita, że zaparłszy się wszystkich przyjemności, zabrała się do pracy z ogromną ochotą, te dorównywały pracowitością słynnym na cały świat pszczołom i mrówkom i dlatego zyskały zaszczytny przydomek pracownice. — To rzekłszy, spojrzawszy miłośnym okiem na gromadkę skromnych os. widocznie spracowanych i mniej strojnych od innych, które słuchały chętnie opowiadania.

— I byłam szczęśliwą, odtąd moje dzieci wyręczały mnie w pracy, gniazdo powiększało się, dzieci rosły, ród pomnażał się, aż oto dziś pusty chłopak zburzył i zniszczył wszystko.

— Nie płacz matusiu! — zawołały gromady robotnic — czyż myślisz, że my wszystkie razem nie zdołamy zrobić tego, czego dokonałaś ty jedna. Nie damy ci już pracować, będziesz tylko doglądać, radzić nam, a my jutro zabierzemy się gorąco do roboty i za dni kilkanaście gniazdo nasze będzie jeszcze piękniejsze niż tamto, które już nawet zniszczyła trochę ostatnia ulewa.

Ten zapal młodego pokolenia rozradował stare serce matysi, już nie żalowała dawnego gniazda, bo praca jej nie poszła na marne, skoro wychowała cały zastęp młodych pracownice, które z taką ochotą biorą się do nowego dzieła.

(C. d. nast.).

Anna Lewicka.



PIOTRUŚ

komedyjka wakacyjna w jednej odsłonie

napisał

Bolesławicz.

(Ciąg dalszy).

PAWEŁEK. Co tu robić?

NATALKA. Wiecie co? — Rozbiegnijmy się po domu, a kto pierwszy znajdzie but dla Piotrusia, ten będzie królem lub królową dnia jutrzejszego.

PAWEŁEK. Dobrze! (Natalka, Pawełek i Paulinka wybiegają).

TOMCIO. Wesołe towarzystwo.

ZYGMUŚ. Bardzo wesołe i dlatego przeczuwam, że się tu pysznie bawić będziemy.

TOMCIO. Najwięcej jednak Piotruś tu użyje.

Pierwszy raz przyjechał na wieś, wszystkim się zachwyca, wszystko go cieszy i rozczula!

ZYGMUŚ. Biedny Piotruś... wyobrażam sobie, co się z nim dzieje tam na bryczce, z jakim niepokojem wygląda nas, abyśmy go zwolnili z tej pokuty.

NATALKA (wbiega, niosąc but z cholewą).

TOMCIO. Ależ to but z cholewą.

NATALKA. Cóż to szkodzi?

TOMCIO. Jakto, cóż to szkodzi? Szkodzi, bo Piotruś nie nosi butów z cholewami.

NATALKA. To bagatela — nie grymas. — Daj mu, co jest!

ZYGMUŚ. No to przynieś mu drugi przynajmniej!

NATALKA. Łatwo ci mówić przynieść... a jeżeli drugiego nie ma, to co?

ZYGMUŚ. Jak nie ma, to nie ma!

TOMCIO. Czyżże to but?

NATALKA. Zdaje się, że ogrodnika. Zanieś go Piotrusiowi, niech przychodzi, pragnę go widzieć jak najprędzej. Niedługo mama powróci, a wtedy znajdę mu inne, ładniejsze i zgrabniejsze buciki.

TOMCIO. Nie ma rady!... niech się i tym kontentuje (bierze but od Natalki i wychodzi).

NATALKA. Ja będę więc królową... Jutro wszyscy mnie słuchać będziecie.

ZYGMUŚ. Przyjmij mnie za swego ministra. Ja z całą pokorą będę spełniał twoje rozkazy.

NATALKA. Dobrze... przyjmuję! — Na jutro zrana, jeżeli będzie pogoda, urządzam majówkę.

ZYGMUŚ. Bardzo dobrze!

NATALKA. Chcę, aby majówka ta wypadła świetnie!

ZYGMUŚ. Postaramy się.

PAWEŁEK (wchodzi). Nie będę królem, bo wracam bez buta!

PAULINKA (wchodzi). I ja nigdzie znaleźć go nie mogłam.

NATALKA. Już nie trzeba. Jest but i jest królowa!

PAWEŁEK. Tyś go znalazła.

NATALKA. Ja!

PAWEŁEK. Więc jako królowa, jutro będziesz myślała o naszej zabawie i pewny jestem, że nam urządzisz z samego rana majówkę.

NATALKA. Tak, jeżeli będzie pogoda. W przeciwnym razie...

PAWEŁEK. Wiem, wiem... zabawę pokojową.

(Wchodzi Piotruś w jednym buciku z cholewą).

PIOTRUŚ. Jak się macie moi kochani? (witają się) Cóż nie śmiejecie się ze mnie? Śmiecie się! Ja lubię śmiech i wesołość. Kto z was obdarzył mnie tym wspaniałym butem?

NATALKA. Ja!

PIOTRUŚ. Dziękuję ci za niego serdecznie. Wprawdzie nie liczy się on do bucików zgrabnych, ale muszę przyznać, że jest wygodny, a nawet wygodniejszy od tego, który mi zaginął. — Szkoda tylko, że drugiego takiego nie było.

NATALKA. Szukałam, szczerze szukałam, ale znaleźć nie mogłam.

PIOTRUŚ. Nic nie szkodzi. Wprawdzie wyglądam komicznie, ale wy mi darujecie, a mnie nie chodzi o to, aby ładnie wyglądać, tylko oto, aby się rozkoszować wiejskim powietrzem i pięknymi widokami. Zresztą rzeczy nasze przyjdą niedługo, to się przebiorę.

PAULINKA. Siadajcie i rozgoście się u nas. Rodzice wyjechali na krótko — powrócą niebawem. Wiejski podwieczorek jednak czeka na was. Będzie mleko słodkie lub kwaśne ze śmietaną, masło świeże, chleb razowy.

PIOTRUŚ. Chleb razowy... masło... mleko... ach to są artykuły, do których zawsze wdychałem.

PAULINKA. Zaraz zarządzę, aby wam podali podwieczorek.

PIOTRUŚ. Nie, nie, wstrzymaj się kochana Paulinko!

ZYGMUŚ. Istotnie, głód nam jeszcze nie dokucza.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZAGADKI

ZAGADKA

ulożona przez Reginę z Hołowczyniec.

Jest wóz — chociaż nie modny, wszelako nie brzydki,
Gdyż to jest wynalazek z dawnych jeszcze czasów,
Ma koła, drzwiczki, okna, jest na kształt karetki,
Z różnicą, że bez kozła, dyszla i bez pasów.
Wielkie, duże zwierciadło podwyższone nieco,
Jest tem samem dla woza, czem koń dla karety.
Ciagnie siłą olbrzymią — koła naprzód lecą,
A wóz jak sobie stanął, tak stoi, jak wryty.
Rób co chcesz, nie pomoże; — gdy się człek kłopotce,
Prosi, grozi, popycha, przemawia do duszy,
On sobie niby głuszec bez przerwy klekoce,
Koła się obracają, a wóz się nie ruszy.

ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA.

Kółka w gwiazdce zastąpić literami, które utworzą 6 wyrazów zakończonych na a. Znaczenie tych wyrazów jest następujące:

1. Najwyższa góra w Tatrach polskich.
2. Miasto w Królestwie Polskim, wstawione statuem Kazimierza Wielkiego.
3. Starożytne miasto polskie w gubernii Kaliskiej nad Bzurą.
4. Część Polski zostająca pod zaborem austriackim.
5. Szczyt Karpat wschodnich w grupie Czarnohory.
6. Słynne miejsce kąpielowe w Galicyi.

Rozwiązanie zagadek zawartych w nrze 22.:

Zagadka kryształowa: P, nos, ponad, Janicki, Santander, Poniatowski, Tarnogród, Kalwini, Łaski, akt, i — Poniatowski.

Zagadka zgłoskowa: Kalisz, Ołomuniac, Cyromki, heołów, Antyllę, nici, Omsk, Wiedeń, siemie, Kraszewski, ibis — Kochanowski, Sienkiewicz.

Rozwiązania zagadek zawartych w numerze 22. nadesłali:

Józio i Lola Mizersey, Manusia Konopačka, Maryan Szydłowski. Eugenia Mondscheinówna, Wandzia Dutkowska, Bronisław i Fredzio Kocołowie, Leonia i Jadwiga Grabskie, Romcia i Zygmunt Słoneccy, Jadwisia Wysoczańska, Zosia Dolańska, Julek Zwolski, Zygmunt Zagórowski, Wacio i Jadwisia Mejbaumowie, Manusia Goldbergówna, Jadwisia Raciborska, Działwa Gawlików, Stefcia Szankowska, Witold Masiuk, Manusia Serafińska, Wanda Musiałówna, Józio Grabowski, Tyńcia i Marcin Korotkiewiczowie, Anulka Kolesińska, Staś z Przeworska, Włodzio Dozorców, Hela i Władzio Godfrejowie, Adaś Prażmowski, Tadek Dobrowolski, Regina Böhmerwaldówna, Tadzio Habliński, Halcia i Miecio Pawłowscy, J. Wilmouth, Bronia Engelstein, Wandzia Makowska, Zygmunt Korytowski.

Nagrody za rozwiązanie zagadek otrzymali:

Manusia Konopačka, Wandzia Dutkowska, Zygmunt Korytowski, Witold Masiuk.

Na fundusz budowy szkoły polskiej w Białej nadesłali:

Bronisław i Fredzio Kocołowie 85 ct., Adam Gałeczki 52 ct., Anna Markiewiczówna 26 ct., Helena Harasowska 26 ct., Romcia Słonecka z loteryjki, którą sama urządziła 1 złr. 30 ct., Oleś, Hańcia, Halusia, Juraś, Loluś Pivocey i ich mamusia (za II. kwartał) 1 złr. 56 ct., z puszek ich tatusia 1 złr. 50 ct. Razem z poprzedniemi: 408 złr. 05 ct.

Składka na stypendyum „Małego Światka“.

Julek Kleiner 2 razy po 30 ct. = 60 ct., M. Wielhorska 2 złr.

KORRESPONDENCYE REDAKCYI.

Włodziewi D. w Bochni. Oj, oj! Na tyle rzeczy trzeba odpowiedzieć. Za zaproszenie do Bochni, dziękujemy bardzo, ale gdyby tak „Mały Świątek“ zjechał cały z redaktorkami, z ich dziećmi, z współpracownikami, administratorką, zecerem i drukarską maszyną — coby to było? gdziebyście go pomieścili? Na zapytanie, czy „Świątek“ gdy wyrośnie, będzie się bił z Moskalami? — odpowiadamy: że on już wojnę z nimi prowadzi, bo budzenie w dzieciach polskich miłości Ojczyzny i przygotowywanie ich do pracy dla narodu — to najskuteczniejsza walka z Moskalami. Kwiatek „na przybicie przyjaźni“, przyjmujemy, ale nie możemy przyjąć „tyle całusów od ciebie, jednego, ile wszystkie razem przysyłają w ciągu roku“, bo nasi czytelnicy są pod tym względem bardzo rozrzućni i szafują milionami — i gdyby te całusy nie za pośrednictwem listów się dostawały „Małemu Światkowi“, to gotowiby zacząć go na śmierć. Zagadki arytmetycznej, którą przysłałeś, umieścić nie możemy, bo była taka sama przed dwoma laty, ale ułóż inną, a umieścimy ją chętnie.

Wacjowi i Jadwisi M. we Lwowie. „Mały Świątek“ oddaje całuski i zapytuje, co robią podczas wakacji. *Zygmuntowi Z. w Bochni, uczniowi I. kl. gimnazjalnej* (wprawdzie dopiero za 4 tygodni — ale tytuł już się należy, bo go zdobyłeś wstępnym egzaminem). Nagrodę już wysłaliśmy.

Julciewi w Bolszowcach. Oj, dobrze ci tam musi być u babei!

Heniowi Lew. w Kossowie. „Mały Świątek“ wysłał do ciebie liścik, który był odpowiedzią na twą kartę. Widocznie nie otrzymałeś go. „Mały Świątek“ zawsze myśli o swoich „starych“ przyjaciółach i kocha ich serdecznie. Na zapytanie twoje, czy biedny „Mały Świątek“ będzie się całe lato smarzył we Lwowie, musimy niestety odpowiedzieć *tak*, bo zdaje się, że redaktorki, ani na tydzień nie opuszczają Lwowa.

Maniusi S. w Kaluszu. „Świąteczka“ nie dołączyliśmy do numeru poprzedniego, ponieważ był dodatek nadzwyczajny z wykazem składek na budowę szkoły polskiej w Białej.

Witoldowi M. we Wiedniu. A kto to posłał rozwiązanie z numeru 21. aż 20. lipca — t. j. wtedy, kiedy numer 22. był już w ręku prenumeratorów?

Stefci w Jordanowie. Jak spędzasz wakacje? Czy wesoło?

Jadwisi R. w Zborowie. Nagrodę wysłaliśmy, zapewne już ją otrzymałaś.

Dziatwiewi w Gumniskach i Grudnej. Za serdeczne całuski odpowiadamy również serdecznymi całuskami, które posyłamy wam wszystkim.

Maniusi G. w Goisern bei Ischl. Adres zmienimy, a baw się wesoło!

Jadwisi w Sokalu. „Mały Świątek“ jest stały w miłości i nie zapomina swych wiernych przyjaciół i przyjaciółek, ale on zwykł tylko odpowiadać na liściki, a kto do niego nie pisał, ten niech się nie dziwi, że nie dostał odpowiedzi.

Romci i Zygmusiowi St. w Monasterku. „Mały ptaszek“, co siedział na gzemisie okienka i widział, jak Romecia urzędowała loteryjkę na dochód szkoły w Białej, opowiadała „Świątkowi“, jak to wszystko było, jak Romecia na ten cel poświęciła ulubione swoje drobiazgi i jak ciągle rachowała zebrane pieniążki i jak się cieszyła każdym centem. — I „Mały Świątek“ cieszy się waszemi ofiarami, waszą pracą i datkami — i on także liczy z radością centy, które nadsyłacie i z radością czyta liściki, z których dowiaduje się, że umiecie dla dobra drugich, wyrzec się własnej przyjemności.

Maniusi K. we Lwowie. Numer 21. wysłaliśmy. Na listę składek jesteś już wpisana wraz z tymi, których imiona nadesłałaś.

Bronisławowi i Fredziowi w Rzeszowie. Nagrodę już pewno otrzymaliście, bo wysłaliśmy ją już dawno.

Zosi Tych... gdzie?? Oj, oj! Toż „Świątek“ nie wytrzyma tyle całusów! A jak się bawisz na wsi? Kto ci ze Lwowa wysła „Mały Świątek“? Co robi Zosia Br. nie wiemy.

Tyćci i Marcinowi w Krakowie. Hm, hm! co to awansów nastąpiło. Zastęp czytelników „Małego Świątka“ ze srebrnymi kołnierkami pomnożył się bardzo!

Anulce K. we Lwowie. Już wysłaliśmy arkusz, którego żądałaś. „Mały Świątek“ śmieje się często, bo wesołość jest przywilejem wszystkich, co mają do czynienia z dziećmi.

Heli i Władziowi G. w Tarnopolu. Widocznie „Mały Świątek“ przeczuł, że zasłużyliście na nagrodę.

Maryni R. w Siedliskach. Naturalnie, że „Mały Świątek“ cieszy się, gdy jego przyjaciółki i przyjaciele uczą się dobrze. Za to teraz masz przyjemne wakacje!

Maniusi K. w Sądowej Wiszni. Że nie możesz jeszcze rozwiązać wszystkich zagadek, to nie dziwnego, bo jesteś jeszcze nie duża panna. — Za dwa, trzy lata będziesz mogła rozwiązywać je łatwo. Nie to złego, że siostrzyczka twoja „lubi lepiej“ teraz formy na sukienki dla laltek, niż książki, za jaki rok będzie wołała książki. Powiedz jej, że wkrótce formy dostanie.

Tadziowi H. w Krakowie. „Mały Świątek“ składa wyrazy uszanowania panu gimnazjaliście.

Andzi Kol. we Lwowie. Arkusik, którego żądałaś, jest złożony w administracji, możesz go tam odebrać w każdej chwili.

Wandzi M. w Czehowie. „Mały Świątek“ cieszy się, że ci sprawił tak wielką przyjemność.

Lińci Gł. w Jarosławiu. „Mały Świątek“ ma bardzo dobrą pamięć i nie zapomina nigdy swych przyjaciół, a kto zdobył w jego serduszku kącik, ten go już posiada na zawsze. Ucieszył on się bardzo, że jego „duża“ przyjaciółka otrzymała takie śliczne świadectwo. Czy Wisia pojedzie do gimnazjum, to jeszcze wielkie pytanie, chociaż ona wzdycha do tego bardzo, tymczasem pojechała na lato w Tatry. Babcia chora bardzo i nie może nigdzie wyjechać, może aż we wrześniu pojedzie nad morze, albo gdzieś indziej. Dlatego i redaktorka musi przepędzić lato we Lwowie. Rodzicom podziękuj za łaskawą pamięć i tobie także zasyłaamy serdeczne podziękowanie.

Wnemu p. Dr. B. w Maksymówce. Ponieważ nie wiemy, czy numer 22. doszedł, bo adresowaliśmy do Wełdzirza, przeto posyłamy go powtórnie.

Sezon wiosenny 1896.

Parasolki do słońca angielskie i francuskie dla pań i dzieci. Najnowsze paski gurtowe, skórkowe, metalowe od 50 ct. do 3 złr. 50 ct. — Rękawiczki dla dzieci niecienne, jedwabne, glacie od 25 ct. Rękawiczki dla pań angielskie po 1 złr. 50 ct. — poleca magazyn

pod firmą

KAUCZYŃSKI i OBERSKI

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 7.

Filia ul. Halicka l. 6.

TREŚĆ: Córka Staremberga, opowieść historyczna z czasów oblężenia Wiednia przez Turków napisał Szezęsny Rogala. — Trocki i pociechy Duńka. — Gniewam się na ciocię, wiersz St. Kossowskiej. — W malutkiem społeczeństwie, napisała Anna Lewicka. — Piotruś, komedyjka wakacyjna w jednej odsłonie, Bolesławicza. — Zagadki. — Wykaz składek na szkołę polską w Białej. — Korespondencye Redakcyi. — W dodatku: „Świąteczko“ i „Syn rybaka“.

Wydawca: **St. Rossowski.**

Redaktorka naczelna: **Anna Lewicka.**

Za redakcyę odpowiedzialna: **St. Kossowska.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządkiem Fr. Kattnera.